

Kategoria 10 – 12 lat

I miejsce: Maja Tutakowska

Legenda o powstaniu Lęborka

Dawno, dawno temu na ziemi lęborskiej rośla puszcza – piękna, bujna, zielona, pełna dzikiego zwierza. Urokliwa to była kraina. Przecinała ją ogromna rzeka, której tonię władała potężna królowa Łeba.

Po jednej stronie, pod pagórkiem Czarторыja, osiedlił się Lem wraz z rodziną. Niedaleko zaś - w miejscu, gdzie obecnie znajduje się zamek krzyżacki - zamieszkał Borg z żoną i dziećmi. Obaj mężczyźni nie bardzo się lubili. Rywalizowali ze sobą na każdym kroku. Gdy Lem wybudował chatę - Borg nie chciał być gorszy i wybudował większą. Borg postawił ogromną zagrodę - chwilę później Lem również musiał mieć podobną. Z tego powodu wybuchały między sąsiadami sprzeczki. Obaj nie lubili się tak bardzo, że zakazywali nawet wspólnej zabawy swoim synom i córkom. Jednak dzieci, których serca nie są skażone nienawiścią, nie podzielały zdania ojców. Często bawiły się razem w ukryciu, z dala od czujnych oczu swoich opiekunów. W jednym miejscu rzeka uczyniła nawet wąski przesmyk, po to, by dzieci mogły się swobodnie i bezpiecznie bawić. Królowa Łeba kilka razy ukazała się nawet im w swej ludzkiej postaci. Ujrzeć ją mógł tylko ten, którego serce było czyste i pozbawione nienawiści jak serce dziecka. Dlatego nikt nie wierzył dzieciom w ich opowieści o królowej mieszkającej w rzece... A rzeka przestrzegała...

Gdy rodzice dowiedzieli się o potajemnych zabawach swoich dzieci – zabronili im oddalania się od domów. Nastaly ciężkie czasy. W obu grodach nie było spokoju. Niejednokrotnie ulegały one napadom lokalnych łupieżców, a mimo to sąsiedzi nie potrafili się zjednoczyć i wspólnie podjąć walki w obronie swoich ziem. Odczuwali nawet satysfakcję, kiedy jednemu z nich zaczęło się gorzej powodzić. Ot, taka głupia sąsiedzka zawiść i zazdrość. W puszczy zaczęło brakować zwierzyny, a zbiory obu sąsiadów zaczęły się kurczyć i rodziny zaczęły głodować. Jedni obwiniali drugich o całą sytuację. Rozzłościło to bardzo królową Łebę. Postanowiła poddać zwaśnionych sąsiadów ostatniej próbie. Za jej sprawunkiem pewnego dnia rozpętała się potężna burza, a potem ulewa, która trwała trzy dni. Woda wystąpiła z brzegów rzeki. Zalała oba grody i całą dolinę. Trzeba było ratować dobytek i zwierzęta.

Wszyscy ruszyli do pracy. Zwaśnieni sąsiedzi wreszcie zrozumieli, że wspólnymi siłami można działać znacznie więcej. Nieważne było, kto ratuje czyje zwierzęta i sprzęty. Wszyscy żwawo ruszyli do pomocy. W tym momencie przekonali się, że najważniejsze jest ludzkie życie i wszystko, co na nie pozwala, a nie bezsensowne kłótnie.

Gdy woda opadła, oczom wszystkich ukazała się ogromna dolina. To właśnie w niej zbudowano nowe domostwa. Zbudowano most i połączono oba grody. Mężczyźni pogodzili się. Przekonali się wreszcie o tym, że wspólnymi siłami i ludzką życzliwością można działać więcej. Wspólnie uznali, że odtąd osada będzie nosiła nazwę złożoną z ich imion. Tak więc od imion Lem i Borg powstał Lemborg. Z biegiem czasu nazwa zmieniała się i obecnie jest nieco inna. Dziś miasto nosi nazwę **Lębork**.

Złotowłosa

10-12
SZKOŁA PODSTAWOWA

im. Adama Mickiewicza

84-360 Łeba, ul. Tysiąclecia 11

tel. 59 866 14 72

REGON 000258342 NIP 841 172 16 27

Legenda o syrenach z jeziora Łebsko

Pewnie już nieraz słyszeliście o syrenach - pięknych, nieśmiertelnych dziewczętach o długich, jasnych włosach i pięknych oczach, o boskim, magicznym głosie, który zwodzi rybaków z łodzi do morskich otchłani, których miłość do ludzi potrafi być piękna, ale też niebezpieczna. Te niezwykle stworzenia są ukazane w różnych bajkach czy książkach. Każde dziecko uwielbia syreny i silnie wierzy w ich istnienie. Niektórzy dorośli twierdzą, że są dowody na to, że syreny są na Ziemi, jednak większość z nich i tak jest przekonana, że syreny to tylko bajki i bzdury, które nie wiadomo po co wmawia się dzieciom. Ale ktoś w końcu musi mieć rację. Albo istnieją, albo nie istnieją. A wy jak uważacie? Myślicie, że syreny to prawdziwe stworzenia, czy dziecinne, wymyślone postaci z opowieści dziadków? Przeczytajcie koniecznie tę legendę, a wówczas... może zmienicie swoje zdanie.

Pewnego lutowego, lecz słonecznego dnia Kasia, nastolatka z Łeby, spacerowała wzdłuż ulicy Obrońców Westerplatte, jej ulubionej ulicy w Łebie. Kasia zwykła spacerować tu wieczorami, lecz dzisiaj o siedemnastej wybierała się do swojej najlepszej przyjaciółki na podwieczorek, więc poświęciła na spacer wczesne popołudnie.

Kasia była wysoką i mądrą dwunastoletnią dziewczyną, od chwili urodzenia mieszkającą w Łebie. Wiedziała bardzo dużo i potrafiła odpowiedzieć na większość pytań, które jej zadawano. Miała piękne, kruczoczarne włosy, zadziwiająco bladą skórę, która do koloru włosów Kasi pasowała jak ulał, posiadała jednak pewien kompleks - jej prawy policzek usiany był piegami. Lewy był całkiem gładki - ani piega. Jeden piegowaty policzek wyglądał bardzo nienaturalnie i według Kasi „ujmował jej urody”. Co prawda, jej kolegów i koleżanki ze szkoły mało interesowało, czy Kasia ma piegi na twarzy, czy też nie, lecz ona sama twierdziła, że taki wygląd niszczy jej reputację.

Teraz jednak Kasia nie myślała o swoim wyglądzie. Podczas ubóstwianych przez nią spacerów starała się nie skupiać na przykrych rzeczach, wcale o nich nie myśleć - tak, jakby wcale ich nie było. Istniały wówczas piękniejsze rzeczy, które niestety wraz z powrotem Kasi do domu przyskały jak czar. Teraz, podczas spaceru, ta magia trwała i dziewczynka delectowała się pięknem, które zauważała wokół. Zachwycała się pięknem tej łebskiej ulicy. Niby to zwykła, normalna ulica, lecz jednak według Kasi miała w sobie coś magicznego. Kiedy Kasia była mała, wierzyła, że po wakacjach we wszystkich tutejszych hotelach, kwaterach prywatnych, na wszystkich polach campingowych - tam wszędzie po wakacjach

zamieszkują dobre wróżki. Wierzyła, że gdy w Lebie było bezpiecznie, między wróżkami nie się nie działo, lecz kiedy zdarzył się jakiś wypadek, oznaczało to, że te magiczne stworzenia się kłócą. Czy to jest ta magia, którą dzisiaj zauważa Kasia? Nie, to nie ta. Kasia już dawno nie wierzy we wróżki i często wyśmiewa samą siebie, jak mogła sądzić, że istnieją.

Później, gdy była trochę starsza, wierzyła, że gdzieś w tym mieście, w jakimś najdalszym zakątku, mieszkają syreny, cudowne panny, piękniejsze od wszystkich dziewczynek, nastolatek i kobiet na całej Ziemi. Kasia twierdziła wówczas, że gdyby nie one, wakacyjne pływanie w morzu byłoby zakazane. Bo to nie ratownicy strzegą bezpieczeństwa na morzu, nie ich flagi ostrzegają, nie boje na morzu wyznaczają granicę. Bo tak naprawdę granica znajduje się dużo, dużo głębiej, niż jakimkolwiek ratownikowi mogłoby się zdawać. Granica jest w najgłębszym miejscu morza, gdzie zawsze przebywają syreny. To jest miejsce daleko, daleko za horyzontem, gdzie nikt z lądu go nie zobaczy. Może, gdyby ktoś leciał samolotem, dostrzegłby to miejsce, ale nawet nie śniłoby mu się, że mogą tam być syreny, ponieważ syreny na co dzień są niewidzialne. Mogą je zobaczyć tylko inne syreny. Lecz, jeśli wypowiedzą odpowiednie zaklęcie, kiedy widzą ludzi zbliżających się na łodziach, stają się dla nich widzialne i zaczynają śpiewać. Każdy zna ten hipnotyzujący śpiew, tak piękny, że gdy się o nim myśli, z oczu sączą się tęskne łzy. Syreny robią to dlatego, żeby zwodzić naiwnych rybaków i zabrać je w morskie głębiny... Nikt dokładnie nie wie, gdzie. Wiadomo tylko, że taki żeglarz już nie powraca.

Kasia nie wierzyła już w syreny i także śmiała się głośno z opowieści o nich. Po co wmawia się dzieciom, że istnieją? Gdy Kasia była mała, jej starsza siostra, Martyna, dziś już dwudziestoletnia, mówiła jej:

„Gdy wrzucisz do morza małą muszelkę,
zobaczysz śliczną małą syrenkę.”

Razu pewnego Kasia, mając osiem lat, zrobiła to, o co prosiła siostra w dwuwierszu - wrzuciła do morza małą muszelkę, najmniejszą na plaży.

- Martyna! - pobięła natychmiast do siostry. - Nie udało się!

- Co się nie udało?

- Przepowiednia!

- Ale jaka?

- Wrzuciłam do morza muszelkę, najmniejszą na plaży! I gdzie syrenka?

Kasia pamiętała doskonale, że Martyna wówczas zaśmiała się.

- Nie chodziło o najmniejszą muszelkę na plaży. Czy w wierszu jest słowo „najmniejsza”? Najwyraźniej muszelka była tak mała, że po prostu nie doleciała tam, gdzie dolecieć powinna. Jeśli rzucisz najmniejszą muszelką, trudno, żeby trafiła dalej, niż pod twoje nogi. Poza tym, muszelka musi być różowa.
- Ale w wierszu tego nie ma!
- Nie szkodzi. Muszelka musi być różowa.
- Dlaczego?
- No... po prostu musi.

Kasia poszła więc poszukać różowej muszelki. Wzięła jedną z mniejszych, po czym wrzuciła do morza. Minęły dwie minuty, lecz syreny dalej nie było. Kasia popłakała się, czuła się oszukana. Zdawało jej się, że Martyna z niej zakpiła. To była chwila, kiedy Kasia przestała wierzyć w istnienie syren.

Dzisiejszą magią, którą dziewczynka dostrzegała w tej ulicy, nie było tylko piękno, lecz także atmosfera. Kasia jakoś żywała się z tym miejscem, czuła się tu nawet lepiej niż w domu. Nikomu o tym nie mówiła, ani rodzicom, ani Martynie, ani nawet najlepszej przyjaciółce Julce, do której dziś się wybierała.

Zegar wybił godzinę czternastą. Kasia musiała wracać do domu, żeby zdążyć na podwieczorek do Julki - co prawda, to prawda - Kasia mieszkała na ulicy Nadmorskiej, więc niezbyt daleko od ulicy Obrońców Westerplatte, lecz odczuwało się tę odległość, gdy jak Kasia szło się pieszo. Julka mieszkała jeszcze dalej - na ulicy Kwiatkowskiego. Jadąc samochodem, nie odczuwało się tej odległości, lecz samochód rodziców Kasi niedawno się zepsuł i tata dziewczyny zawiózł go do naprawy. Kasia musiała samodzielnie dotrzeć do przyjaciółki.

O godzinie szesnastej dwadzieścia dziewczynka wyszła ponownie z domu, by zdążyć na siedemnastą do Julki. Mama Kasi poprosiła córkę o to, żeby nie wracała do domu przed dziewiętnastą, ponieważ chciała posprzątać mieszkanie. Nie lubiła, gdy ktoś kręcił się wtedy „pod nogami”. Gdy dziewczynka była w połowie drogi, usłyszała dzwonek telefonu. Okazało się, że Julka ma zatrucie pokarmowe i przyjaciółka nie może jej odwiedzić. Kasia nie wiedziała, co ma zrobić. Przecież nie może wrócić do domu!

Kasia szła więc bez celu, zastanawiając się, gdzie pójść i co ze sobą zrobić. Nie chciała wracać na ulubioną ulicę, ponieważ już dziś spędziła na niej dużo czasu, a Kasia nie lubiła robić tego samego wiele razy. Szła więc i szła, nie myśląc o tym, dokąd dojdzie. Nagle

potknęła się o coś. Wstała, otrzepała spodnie i spojrzała na ziemię. Leżała tam papierowa ulotka.

- Te głupie ulotki - westchnęła Kasia.

Podniosła papier i przeczytała treść - „Jezioro Łebsko - pomorskie uzdrowisko”.

- Może tam pójde... W końcu musiała czymś się zająć, a może to znak?

Poszła więc nad jezioro Łebsko, trzecie co do wielkości jezioro w Polsce. W oczach Kasi było ono jednak malutkie. Nie sądziła też, że to może być to „pomorskie uzdrowisko”.

Kasia doszła nad jezioro. Ledwo przecisnęła się przez szuwały. Znajdowała się na terenie Słowińskiego Parku Narodowego, gdzie był pomost, wieża widokowa (co prawda zamknięta, ale Kasia nie zwracała na to zbytnio uwagi)... Pomyślała, że to zwykły park. Co tu może być do roboty?

Dziewczyna usiadła na pomoście, nad samym jeziorem. Patrzyła w beznamiętny wód.

- Co może się tam znajdować? - mówiła do siebie. - Może jest tu coś oprócz ryb czy wodorostów, oprócz trzcin... Nie, to niemożliwe. Na pewno nie. To tylko jezioro. No to co tam jest? Tylko ryby? To takie nudne miejsce...

Nagle coś zaczęło ją kłuć w nogi. Wstała i zobaczyła muszelkę. Dziwne, wcześniej wcale jej nie zauważyła. Była całkiem różowa, malutka... Kasia przypomniała sobie zabawę z dzieciństwa. Postanowiła, dla zabawy, powtórzyć ją. Chwyciła muszelkę, wzięła zamach, po czym rzuciła ją daleko w jeziorne głębiny. Wykrzyknęła ze śmiechem:

- Syrenko, przybywaj!

Kasia wiedziała, że syrenka nie przybędzie. Roześmiała się bardzo głośno, nie zastanawiając się nad tym, czy przypadkiem nie wolno było hałasować w parkach narodowych, po czym ponownie usiadła na pomoście.

Wtem usłyszała śpiew, przepiękny, donośny, chwytający za serce śpiew. Był to na pewno śpiew dziewczyny, jakiejś młodej dziewczyny... Przyszło jej do głowy tylko jedno. Przyszło jej do głowy, że to jest pewien śpiew... Czy to możliwe...? Nie, na pewno nie. Gdyby to był ten śpiew, Kasia już dawno utonąłaby w tym jeziorze. Śpiew był przepiękny, Kasia już prawie płakała ze wzruszenia, ale nie czuła tego... Chwila. Co czuje osoba, która słyszy ten śpiew? Po czym wie, że to ten? A może tego nie wie, może ten śpiew po prostu się objawia? A Kasia właśnie nie wiedziała, czy to jest on...

Śpiew był coraz głośniejszy, jakby owa śpiewaczka coraz bardziej zbliżała się do Kasi. Ale dziewczynka nikogo nigdzie nie widziała... Więc kto śpiewał? Kasia już zaczynała się bać, gdy nagle... zobaczyła jakiś kształt w wodzie. Postać była coraz bliżej. Nagle chwyciła Kasię za nogę... i zniknęła z nią w zaroślach.

W końcu obie dziewczyny, już za trzcinami, wynurzyły się z wody. Kasia z zachwytem przyglądała się towarzyszce - była to piękna dziewczyna o złocistych, miękkich włosach, błękitnych oczach, czerwonych jak krew ustach, białej skórze, wyglądająca na jakieś siedemnaście lat. Dziewczę miało na sobie... jakby strój kąpielowy. To dziwne - pływać w stroju kąpielowym w lutym! A dziewczyna ta na pewno nie morsowała - robi się to w morzu. Co było dziwne, Kasia nie odczuwała chłodu wody. Zachwycona spojrzała w wodę, by mniej więcej określić wzrost tej piękności. Kasia spojrzała w wodę i... krzyknęła z niedowierzaniem. Ta śliczna dziewczyna była... PRAWDZIWĄ SYRENĄ! Najprawdziwszą! Przepiękną syreną, na której szyi spoczywała muszelka, wrzucona wcześniej przez Kasię do wody. Kasia zaniemówiła.

- K-k-kim jesteś...? - zapytała drżącym głosem.
- Jestem Ariana, syrena z jeziora Łebsko.
- A... co... co ja robię w tej wodzie?
- Królowa wszystkich syren, Lorena, odkryła, że jest tu taka dziewczynka jak ty. Nakazała mi odnaleźć cię i przynieść tutaj. Byłam na plaży, szukałam wokół całego jeziora. Ciebie nie było. Wtedy dowiedziałam się, że często chodzisz po ulicach miasta. Okeania, syrena o niesamowitym talencie plastycznym, ze znalezionych na pomoście kartki papieru i kredek, stworzyła ulotkę reklamującą nasz dom, po czym Miranda, posiadająca siłę czterech wiatrów, przywiała ją pod twoje stopy.
- Ale... Po co mnie szukałyście? Po co królowa mnie szukała?
- Dowiedziała się, że twoja uroda nie jest doskonała, postanowiła więc, że uczyni cię nieskazitelnie piękną.

Kasia niesamowicie się ucieszyła. Być piękną - prawdziwie, w stu procentach piękną! Taka wizja była niesamowita - Kasia mogła wyglądać jak Ariana, a - kto wie - być nawet piękniejszą! Lecz dziewczyna wiedziała, że to jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe - a jeśli nawet, musiałyby dużo za to oddać. Jej przeczucia spełniły się.

- Ale - powiedziała Ariana - jest warunek. Będiesz najpiękniejsza, jeżeli wyrzekniesz się życia na ziemi i dołączysz do nas.

Kasię przeszył dreszcz. Być nieśmiertelną, nieskazitelnie piękną syreną czy być tą samą, zwyczajną Kasią, brzydką dwunastolatką, która kiedyś na pewno umrze? Kasia poczuła, że ma przed sobą niezwykle możliwości. Z jednej strony piękno i nieśmiertelność to coś niezwykłego - Kasia wolałaby być taką syreną niż grecką boginią poezji, której ideał formowała w dzieciństwie. Wolałaby być syreną niż wróżką, którą także kiedyś chciała być. Wolałaby być syreną nawet bardziej niż upragnioną wcześniej argentyńską piosenkarką. Lecz czy wolałaby być syreną niż być człowiekiem? Być piękną, lecz porzucić rodzinę, przyjaciół, porwać rybaków i zatapiać ich w wodzie? Jak mawiała Martyna, „wszystko ma swoje mroczne strony”. Nawet taka grecka bogini poezji na pewno miała swoje czarne tajemnice, o których nikt nigdy się nie dowie. Mroczną stroną bycia syreną jest właśnie ta tępa samotność - tylko woda i ty, ty i woda - i tak w kółko. Kasia zaczęła trochę płakać, lecz i tak była już mokra od wody, więc Ariana nie zauważyła tego.

- Ja... ja nie wiem...

- Zastanów się. Masz przed sobą niesamowitą szansę. Od starożytności tylko kilka dziewcząt otrzymało taką propozycję. Wszystkie one przystały na to i do dziś są tak samo młode, żywe i piękne, jak wtedy, gdy stały się częścią naszej wodnej społeczności.

- A jeżeli zgodzę się i zostanę syreną, to... to będę mogła jeszcze kiedyś wrócić na ziemię?

- Nie, nie, to jest decyzja na zawsze. Nie możesz tak po prostu być młodą przez jakieś pięćdziesiąt lat, a później wrócić na ziemię, bo tak mogłaby wykorzystywać nas każda dziewczyna. Albo żyjesz wiecznie w jeziorze, albo żyjesz kilkadziesiąt lat na ziemi.

- Ale... To jezioro jest dla mnie trochę za nudne. Ja lubię zwiedzać, lubię odwiedzać różne miejsca, a spędzić tu bezkresne życie...

- O, jezioro wcale nie jest nudne. Tylko posłuchaj, jak powstało. Dawno, dawno temu, przed naszą erą, syreny żyły w oceanach i nie miały żadnych wierzeń ani nic do roboty. Ja żyłam z moją siostrą Aklauzją, matką Irianą oraz kilkoma innymi syrenami w Morzu Śródziemnym. Matka surowo zabraniała mi i Aklauzji podpływać do brzegu, bo twierdziła, że coś się wtedy wydarzy, lecz nigdy nie mówiła, co. Aklauzja była bardzo strachliwa i nawet nie chciała pytać, co by się stało, gdyby podpłynęła do jakiegoś wybrzeża. Ja jednak byłam kompletnie inna - zawsze próbowałam się wymknąć z zasięgu matki i podpłynąć do brzegu, lecz ona zawsze jakoś mnie znajdowała i nie mogłam odpłynąć za daleko. Pewnej nocy, gdy ona i Aklauzja spały,

wymknęłam się ponownie. Tym razem udało mi się i dopłynęłam do kamiennego wybrzeża Krety. Oparłam się o jeden z głazów. Wtedy ziemia zadrżała i nie wiadomo, skąd, zaczęły lać się strugi wody. Powódź ogarnęła cały świat. Nagle z nieba zaczęła lecieć ogromna wodna kula. Wylądowała ona gdzieś w Afryce i spowodowała, że ziemia zaczęła płonąć. Zgasiła jednak natychmiast pożar, lecz cały ten region oraz wszystkie miejsca okalające świat na zawsze pozostały ciepłe. Tak powstał równik. Kropla wody zmieniła się w dziewczynę. Była to nasza bogini - Kasemora. W starożytnym języku syren, dziś już wymarłym, „Kasemora” oznaczała kroplę wody. Woda zalała i to miejsce, i tak powstało to jezioro. Matka była tak wściekła, że spowodowała taką klęskę, że wysłała mnie tutaj na zawsze. Pomodliłam się do Kasemory, a ona pobłogosławiła to jezioro i uczyniła je pełnoprawnym domem syren.

- To ciekawa historia...
- To zostajesz z nami?

Kasia pomyślała chwilę. Ariana była piękna, będzie żyć już wiecznie i zawsze będzie tak samo młoda, lecz nie ma tu swojej rodziny, nie wie, gdzie są teraz jej mama i siostra... Kasia bardzo chciała być piękna...

- Nie zostaję. Przepraszam, ale moje życie jest całkiem piękne i kocham swoją rodzinę.

Chciała być piękna, lecz nie mogła opuścić rodziny i przyjaciół. Wyszła z wody, o dziwo - całkowicie sucha - po czym ruszyła w stronę domu.

O dziewiętnastej trzydziści była na miejscu. Podbiegła do swojej mamy, ucałowała ją i poszła do swojego pokoju. Usiadła na łóżku w swoim pokoju, po czym przemyślała to wszystko, co miało miejsce jeszcze przed chwilą. Ariana, kropla wody, wybrzeże Krety... bycie piękną. Lecz po co być ładną, nawet ładniejszą niż Ariana, skoro miało się dom, przyjaciół i rodzinę? Kasia myślała nad tym wszystkim i wcale nie żałowała, że nie dołączyła do syren. To jezioro, te syreny, to wszystko - czy to było prawdziwe? A może to był tylko sen? Raczej tak... Bo co z tego wszystkiego mogło istnieć naprawdę? Przecież to jezioro zawsze było normalne... i takie pozostanie. Jest to zwykły akwen wodny niemający nic wspólnego z syrenami, prawda?...

Japonka

MILKA 10-12

Legenda o podziemnym tunelu



Dawno temu, w małej wiosce o nazwie Niekołano, żyło sobie małżeństwo, któremu urodziły się bliźniętka: Anielka i Oliwia. Siostry bardzo lubiły pomagać rodzicom w domu i na polu.

Pewnego dnia matka poprosiła córki, aby poszły do pobliskiego zagajnika i zbierały jagody. Bliźniętka od razu pobiegły z koszykami do zagajnika. Kiedy już dotarły, zobaczyły dużą górę z kamieniami. Siostry długo się zastanawiały, czy coś się tam ukrywa...

- Ciekawe, co się tam znajduje. - zastanawiała się Oliwia.

- Pewnie tata przyniósł tu kamienie z pola. - odpowiedziała jej Anielka.

- Lepiej poszperamy jagody, bo zaczyna robić się ciemno.

- Racja. Matka pewnie już się o nas niepokoi. - odpowiedziała Oliwia.

Kiedy bliźniętka wróciły do domu, zaniepokojona matka spytała:

- Dlaczego tak długo was nie było? Czyżby coś się stało?

- Nie, po prostu ciężko było znaleźć jagody. - odpowiedziały siostry.

Następnego dnia matka znów poprosiła swe córki, aby zbierały jagody, więc od razu pobiegły do zagajnika. Kiedy już dotarły, z zaciekawieniem pozwoliły zacząć się wspinąć na górę i zbierać kamienie.

Gdy wyciągnęły wszystkie kamienie, znalazły małą dziurę ciemną i wąską.

- Ciekawe, dokąd ta dziura prowadzi? - pomyślała Oliwia. - Sprawdźmy?

- Pewnie. Może na dole jest jakiś skarb? - zaproponowała siostra.

Kiedy zaczęły na dół, znalazły wielką górę kłota. Nie zastanawiając się zbyt długo wchodziły do kłosa, ile się dało. Gdy już miały wychodzić, całe kłoto zniknęło, ale pojawił się dziwny dźwięk. Zdziwione i przerażone siostry natychmiast wycofały się, kiedy nagle nieznanemu zapytał się siostr:

- Jestem duchem tego miejsca. A wy kim jesteście i co robicie w moim zagajniku?



- Jesteśmy siostrami. Przyjdźmy poszukać jagody dla mamy - powiedziały podmuch.

Duch przekonywał Wiziarczyki, że nie mają się czego bać. Powiedział, że z chęcią pomoże im poszukać jagody. Muszą jednak mu obiecać, że nikomu nie pozwolą wejść do tunelu. Jeśli komuś o nim powiedzą, będzie bardzo zły.

- Dobrze! - krzyknęły z radością - A co się stanie, jeśli ktoś wejdzie? - spytały.

Duch chwilę pomyślał i powiedział, że wtedy cały ich rodzinny dom stanie się wielkim drzewem.

Kiedy poszukały wspólnie z duchem jagody, porozmawiały się z nim. Wskazywały ogrody wielkiej kaski, mogły do zagajnika wbiec i zobaczyć i wtedy wszystkie zaczęły się unosić do góry. W tym miejscu stało małe wielkie drzewo. Do drzew na środku pola stało ogromne ogromne drzewo i zagajnik z górną komienią, którą pilnuje duch. A wszystko to można zobaczyć w niewielkiej miejscowości zwaną Wielęckim.

III miejsce: Błażej Bartosz Popiela



Legenda Błękitnej Krainy

Dawno, dawno temu w grodzie nieopodal Wielkiej Wody mieszkał książę z żoną i z dwojgiem dzieci, córką Łebą i synem Bogusławem. Zamieszkiwali oni w pięknym zamku zbudowanym przez księcia dla swojej rodziny. Budowlę wznosił na najwyższym wzniesieniu pobliskiego lasu. W tenże sposób chciał mieć baczenie na podległe mu ziemie i swoich poddanych. Z okien pałacu rozciągał się piękny widok – obfitość zieleni, pobliskie jeziora, gleby tworzące urozmaiconą mozaikę, a wszystko to oplecione uroczą rzeką podążającą do morza.

Rzeka, w tym regionie, stanowiła najistotniejszy czynnik dobrobytu jej mieszkańców. W niej występowały liczne gatunki ryb. Dolina, okalająca rzekę, była miejscem życia wielu gatunków roślin i zwierząt, a wody płynące bystrym nurtem służyły do transportu. Obszary nadrzeczne rzeki, dzięki jej życiodajnym wylewom, niosącym ze sobą osady bogate w substancje odżywcze, były najżyźniejszymi terenami uprawnymi w regionie, wydającymi obfite plony.

Łeba uwielbiała spędzać czas w pobliżu rzeki. Lubiała kąpać się w jej dżdżystej wodzie, a wieczorami odpoczywać nad jej brzegiem i wsłuchiwać się w rechot żab, które zamieszkiwały okoliczne zarośla. Była piękną i pełną życia młodą kobietą. Czas jej było do zamążpójścia.

Zaczęły się więc poszukiwania kandydata na męża. Nieszczęśliwa dziewczyna, pragnąc wielkiej miłości, nie akceptowała żadnego z kandydatów. Z czasem gniew ojca narastał, aż w końcu miarka się przebrała. Postanowił urządzić turniej, a jego zwycięzca miał zostać mężem jej córki.

Ogłoszono zatem wszem i wobec zawody, które miały polegać na konkursie łuczniczym, polowaniu, przejściu labiryntu i prawidłowej odpowiedzi na zadaną zagadkę.

Do rozgrywek zdecydował się dołączyć, przybywający z dalekiej wyprawy, książę Ino.

Wybrał się w podróż ze swoim przyjacielem lwem, którego przywiózł z dalekiej Afryki.

Będąc blisko celu usłyszał szum rzeki. Postanowił więc, na krótką chwilę, zejść ze szlaku, ugasić pragnienie i odpocząć nad jej brzegiem. Jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał kąpiącą się w rzece dziewczynę. Miała piękną twarz, blond włosy zaplecione w gruby warkocz, a głowę stroił wianek upleciony z ziół i polnych kwiatów. Była to oczywiście Łeba, która, o dziwo, nie przestraszyła się przystojnego młodzieńca o kruczych włosach, ciemnej cerze i różanych policzkach. Natychmiast młodzi zapalali do siebie wielką miłością.

Na turniej przybyło wielu odważnych młodzieńców. Każdy z nich chciał wygrać konkurs łuczniczy, jednak nikt nie mógł pokonać Ino. Okazał się on również bezkonkurencyjny w polowaniu. Jego przyjaciel lew pomógł mu w wytropieniu zwierzyny.

Kolejnym etapem zawodów był labirynt. Żaden z zawodników nie dał rady go pokonać. Ta sztuka udała się jedynie Ino, gdyż żaby pomogły mu znaleźć drogę do wyjścia. Były one wiernymi przyjaciółkami Łeby i cieszyły się z głębokiego uczucia młodych.

Ostatnią częścią rozgrywek była poprawna odpowiedź na zadane pytanie przez ojca dziewczyny: „Co na świecie nie ma ceny, miary, wagi”? Ino bez zastanowienia odpowiedział - „Miłość”, i to było prawidłowe rozwiązanie tejże zagadki.

Rozpoczęto więc przygotowania do ślubu. Wesele było huczne, zaproszono wielu znamienitych gości.

Ino okazał się zacnym człowiekiem. Zaprzyjaźnił się z miejscową ludnością, która powitała go jako bohaterskiego podróżnika i ceniła go za jego sprawiedliwość, roztropność, dobroć. Już jako władca znacznie rozbudował osadę. W centralnej jej części wybudował fontannę na brzegu, której siedzą, odlane z brązu, żabki. Tak postanowił odwdziżyć się rzekotkom za pomoc w zdobyciu żony. Ta uroczą fontanną z czasem stała się ulubionym miejscem odpoczynku wielu mieszkańców.

Miejscowość ta rozwijała się prężnie. Panował tu dobrobyt i dostatek. Wszyscy się szanowali i wzajemnie sobie pomagali. Osady nie atakowały obce wojska, gdyż wieść o mężnym królu i jego dzielnym lwie obiegła wszystkie strony świata. Na cześć Ina i jego afrykańskiego przyjaciela gród nazwano Levino, a bezpieczeństwa jej strzeże do dziś lew w herbie, który stał się

strażnikiem i opiekunem grodziska i jego mieszkańców. Rzekę natomiast nazwano Łebą od imienia pięknej, zacnej królowej. Ich syn w przyszłości wybudował nowy gród, tuż nad samym morzem, który na cześć matki nazwał Łebą.

I tak wielka miłość i mądrość Ino i Łeby doprowadziła do powstania kilku urokliwych, niezwykłych miejsc, znanych też w innych krajach oraz przyczyniła się do wzmocnienia osady Levino.



„Magiczne bagno w Krakulicach”

W Krakulicach na bagnach i wszędzie indziej zachodziło już słońce. W lesie zwierzęta zaczynały się budzić. Chociaż księżyc nie było widać jeszcze na niebie, wilki zaczynały wyć, a sowy rozpoczynały polowania. Nie było jednak widać żurawi jeszcze kręcących na niebie, chociaż zwykle właśnie o tej porze przelatywały nad lasem wielkimi grupami, wydając zadziwiające dźwięki i zazwyczaj właśnie latem.

Nagle słońce całkowicie zaszło i tylko księżyc oświecał noc, na niebie pojawiły się grupki czarnych żurawi, które po chwili wylądowały przy bagnie. Jeden z nich napił się wody z bagna, reszta powtórzyła czynność, po chwili nie było widać tam już żadnych ptaków. Było to bardzo dziwne i nikt w okolicy nie wiedział, jak to się stało. W pewnym momencie do bagna podeszła dziewczynka i napiła się z niego wody, jej także przytrafiło się to, co żurawiom. Teraz już mieszkańcy Krakulic wiedzieli, jaka jest przyczyna zniknięcia owych zwierząt, ludzie trzymali się z daleka od bagna.

Pewnego dnia przechodził tamtędy pewien młody młynarczyk i zapukał do drzwi jednego z domów. Zza drzwi wyłonił się stary pan i zapytał:

- Czego chcesz, młody człowieku?

A na to młody młynarczyk odpowiedział mu:

- Potrzebuję wody, czy możesz mi ją dać?

Stary pan, widząc, jaki dobry jest chłopak, ugościł go u siebie i podał mu mleko.

Młynarczyk dotknął kubka i oparzył się, po czym krzyknął:

- Dasz mi wodę?!

Stary pan wyszedł za drzwi i wskazał na bagno, które było nieopodal jego domku.

- Nie mamy wody i nie próbuj pić z tego bagna, gdyż ten, kto się z niego napije, zniknie.

Młynarczyk wybuchł śmiechem, trudno było mu uwierzyć w to, co opowiedział mu pan.

- Głupota! – krzyknął i pobiegł do bagna, po czym napił się wody z niego i, tak jak pan się spodziewał, chłopak zniknął.

Zniknął na zawsze, a bagno już zawsze było magiczne.

Sasa

Wyróżnienie: Dobrawa Krzyżanowska

„Wiatrak miłości”

Dawno, dawno temu w czasach kiedy pomiędzy Górkami a Charbrowem stał duży wiatrak żył król, który miał dwie piękne córki o imionach Eliza i Amelia. Mieszkali oni w przepięknym pałacu w Charbrowie. Niedaleko pałacu znajdował się park, który był ulubionym miejscem na spacer Elizy.

Pewnego dnia, gdy Eliza spacerowała, napotkała młodzieńca o imieniu Szczepan. Bardzo lubiła z nim rozmawiać i spędzać czas. Wszystkiemu przyglądała się jej starsza siostra Amelia, która postanowiła o wszystkim opowiedzieć ojcu. Wzburzony król wezwał do siebie Elizę i zabronił spotykać się jej z chłopcem, ponieważ nie pochodził on z rodziny królewskiej. Mimo zakazu ojca młodzi postanowili się dalej widywać, gdyż nie mogli bez siebie żyć. Miejscem potajemnych spotkań był stary wiatrak, który znajdował się na polnej drodze prowadzącej z Charbrowa do Górek. Eliza i Szczepan spotykali się wieczorami, tak aby nikt nie wiedział o łamaniu zakazu ojca dziewczyny. Siedzieli przy zmroku księżycą za wielkim wiatrakiem i wpatrywali się w łany zboża, podziwiali dziką naturę w pobliskim rezerwacie. Amelia podejrzewała, że Eliza nie przestała się spotykać ze swoim ukochanym, dlatego też pewnego wieczoru postanowiła ją śledzić. Ruszyła za nią i nakryła młodych na potajemnym spotkaniu. Eliza prosiła siostrę, aby nie wydała jej przed ojcem, jednakże Amelia była nieubłagalna. Drugiego dnia z samego rana starsza córka poszła do króla i o wszystkim mu powiedziała. Ojciec wpadł we wściekłość. Zakazał Elizie wychodzić z pałacu, a spacerować mogła tylko na dziedzińcu w obecności służby. Eliza wpadła w rozpacz, nie jadła, do nikogo się nie odzywała i w ogóle nie wstawała z łóżka. Całymi dniami nie opuszczała swojej komnaty. Król nie wiedział co ma począć, aby uszczęśliwić swoją młodszą córkę. Wszyscy starali się jej pomóc, bezskutecznie. Amelią nikt się nie przejmował i traktował ją jak powietrze. Starsza siostra, była tak wściekła i zazdrosna o Elizę, że z tej złości postanowiła zrobić coś strasznego. Pobiegła w kierunku wiatraka i zdecydowała, że go zniszczy. Postanowiła go spalić. Gdy Amelia wróciła do pałacu, nie poczuła się dobrze z wiedzą, że wiatraka już nie ma. Myślała, że zemsta da jej satysfakcję, ale nie poczuła ulgi. Król, widząc, że jego córki są smutne, postanowił urządzić uroczystą ucztę i zaprosić Szczepana. Eliza bardzo ucieszyła się na widok Szczepana i rzuciła się w jego ramiona. Król, widząc to, zrozumiał, że nieważne jest to, co posiadamy i skąd pochodzimy, tylko to, jakimi ludźmi jesteśmy i jakie wartości wyznajemy.

Wyróżnienie: Jacek Łodziński

Legenda o miejscowości Wicko

Dawno, dawno temu za siedmioma górami i sześcioma rzekami żył mały chłopiec o imieniu Wacław. Lubił bardzo chodzić do szkoły, ponieważ miał tam dużo kolegów, którzy mówili na niego zdrobniale Wicek. Bardzo ciekawił się podróżowaniem po Polsce. Wracając z ostatniej wyprawy, natknął się na pusty, niezaludniony obszar, na którym postanowił osiedlić się i zamieszkać. Po zbudowaniu pierwszych dwóch domów do jednego z nich wprowadziła się piękna 26-letnia dziewczyna o imieniu Helena. Helena była bardzo towarzyską osobą i od razu po wprowadzeniu się do domu zapukała do Wacława i zaprosiła go na kawę. Wacław, kiedy ją ujrzał, od razu się w niej zauroczył i postanowił poprosić ją o rękę. Dziewczyna przyjęła oświadczenia Wacława. Niedługo potem Helena urodziła pięknego chłopca. Imię, które otrzymał, to Wicuś. Kiedy wyrósł on na silnego mężczyznę, został Królem. Postanowił on nazwać osadę, w której to urodził się, swoim imieniem, dodając małą zmianę. I tak powstała nazwa Wicko. Miejscowość ta istnieje po dzień dzisiejszy, a ludzie tu mieszkający są bardzo szczęśliwi i gościnni.

Krecik

Wyróżnienie: Ewelina Mac

Bobrowy gród

Budzą mnie promienie słoneczne przedzierające się przez gęste korony drzew. Rażące światło nie pozwala mi do końca otworzyć oczu. Po jakimś czasie orientuję się, że nie jestem w łóżku, tylko w samym środku jakiegoś lasu. Kiedy z trudem podnoszę się z mchu, rozglądam się i próbuję sobie przypomnieć co się stało. Pamiętam tylko, że wieczorem kładłam się spać na wygodnym łóżku w moim pokoju. Nic więcej. Otrzepuję się ze ściółki leśnej, po czym zauważam moją torbę, którą jakiś czas temu kupiłam na wycieczce szkolnej na pamiątkę znad Morza Bałtyckiego. Otwieram ją i pierwsze, co widzę, to ogromnego (moim zdaniem) pająka. Odpycham ją od siebie z krzykiem. Słyszę echo, które odbija się od każdego drzewa i trafia prosto w moje uszy, ogłuszając mnie na kilka chwil. Czekam jakąś minutę i znowu otwieram przedmiot, który znalazł się koło mnie tak znikąd. Zresztą wszystko, co tu się stało, wzięło się znikąd. Nie widzę już pająka tylko niewielki kompas, telefon komórkowy, menażkę harcerską, jakąś kopertę i małe lustro. Od razu biorę do ręki telefon, wybieram numer mojej mamy i dzwonię, ale nic z tego. W komórce nie ma ani zasięgu, ani Internetu. Rozrywam kopertę, w której znajduje się mapa przypominająca plan jakiegoś dużego miasta. Rozsypuję wszystkie rzeczy w poszukiwaniu czegoś, co by mi wyjaśniło, czemu znalazłam się w lesie, ale nie ma nic oprócz tych kilku rzeczy i pająka, który zapewne gdzieś się zakamuflował. Wytrzepuję torbę, aby się upewnić, że nie ma w niej żadnych owadów i wrzucam przedmioty, które wcześniej wysypałam. Zakładam ją na ramię i jeszcze raz rozglądam się wokół siebie. Tym razem zauważam ładny domek na potężnym drzewie. Wspinam się po gałęziach, bo nie ma do niego drabinki, ani schodów. Ku mojemu zdziwieniu jest on o wiele wyżej niż się spodziewałam, przez co kręci mi się w głowie. Jakimś cudem nie mdleję. Tutaj z góry widać o wiele więcej. Za drzewami znajduje się jezioro... albo raczej coś w stylu... bagien? Przypomina mi się torfowiskowy rezerwat przyrody w gminie Lębork. To niedaleko mojego domu. Nazywa się chyba „Czarne Bagno”. Przenika przeze mnie myśl, że może cofnęłam się w czasie, ale od razu w to wątpię. Przecież to niemożliwe. Spostrzegam również, że wiele drzew jest pogryzionych przez bobry, ale nie zwracam na to większej uwagi, bo często przy jeziorach lub bagnach żyją bobry. W domku jest tylko małe krzesło i stolik, na którym jest kolejna mapa. Zabieram ją do torby i idę w stronę jeziora. Kiedy tam docieram, jeszcze zanim się zorientuję - nogi zapadają mi się aż do kolan. Próbuję się wydostać, ale im bardziej się ruszam - tym głębiej zanurzam się w bagnie. Cemu o tym nie pomyślałam wcze-

śniej? To było przewidywalne, że tak się stanie. Wołam o pomoc, ale dostaję odpowiedź tylko w formie mojego echa. Prawie mdlejąc, zauważam coś w krzakach, ze wszystkich sił krzyczę...

Najwidoczniej w końcu zemdlałam, bo budzę się w tym samym miejscu, co o świcie. Jest już półmrok. Wypatruję domku na drzewie. Docieram do niego całkiem szybko. Zawieszam na krześle torbę z moimi rzeczami, sprawdzając, czy może jest już zasięg w komórce. Kiedy widzę, że go nie ma- nie jestem zdziwiona. Zresztą, jak mógłby być zasięg albo Internet w lesie? Kładę się na zimnych deskach, próbując zasnąć. Cała drzę, ale niedługo potem zasypiam. Ocknęłam się dopiero jakoś po dwunastej. Przynajmniej taką godzinę pokazywał telefon.

Zabrałam swoje rzeczy, zesłam na ziemię i poszłam naprzód w poszukiwaniu sama nie wiem, czego. Po prostu. Mijają dwie godziny szybkiego marszu donikąd. Widzę zarys jakiejś budowli przypominającej kościół. Kiedy podchodzę bliżej okazuje się, że to wioska. Albo nawet miasto. Ludzie wyglądają na bardzo zestresowanych, jedni chodzą bez celu w te i we wte, drudzy mamrocą coś niezrozumiałego albo krzyczą na siebie nawzajem, a trzeci pakują do toreb ubrania, pamiątki rodzinne i przybory kuchenne. Staram się dowiedzieć jak najwięcej, chociaż mało rozumiem z tego zamieszania. Podchodzę do jakiegoś starszego pana i pytam:

- Przepraszam, mam pytanie, co się właściwie tutaj dzieje?

- Oj panienko, już tu są... Jak to możliwe, że nie wiesz? Gdzie Twój rodzice? - zapytał staruszek.

Nie odpowiadając na jego pytania, kontynuuję:

- Ale kto już tu jest?

Starszy pan bez słowa odwraca się w drugą stronę i dołącza do swojej rodziny, pomagając im się pakować.

Stoję chwilę bez ruchu. Dziwnie się czuję, ogarnia mnie niepokój. Oglądam się za siebie i widzę, że domy i budynki są bardzo poniszczone. Jakby coś wygryzło w nich dziury. Czuję, że coś dzieje się z moją torbą. Spoglądam na nią i odruchowo puszczam ją i odskakuję. To bóbr. Żuł już kawałek mapy, którą miałam w torbie, kiedy na niego spojrzałam. Ale jak to możliwe? Zaczynam panikować, wiedząc, że to trochę dziwne bać się takiego zwierza. Orientuję się, że jednak mam się czego bać, gdy widzę ich setki, a nawet tysiące. Chcę uciekać, lecz nie mam dokąd... Te zwierzęta są wszędzie. Pożerają domy, rowery, meble i chyba wszystko, co zobaczą. Ktoś jadący rowerem, krzyczy do mnie, abym usiadła na bagażniku roweru. Bez żadnych pytań wskakuję i jedziemy w stronę lasu, w którym znalazłam się na początku mojej przygody. Mija trochę czasu i docieramy domku na drzewie. Tak, tego, w którym byłam wcześniej. Dopiero wtedy czuję się na siłach wydobyć jakikolwiek dźwięk i pytam, co się stało, dlaczego całe miasto zostało opanowane przez bobry. Uświadamiam sobie, że brzmi to komicznie, ale jestem całkowicie poważna.

- Z tego jeziora (wskazuje na bagna, w których prawie się utopiłam) wyszły tysiące stworzeń. Nie wiadomo czemu... Niektórzy mówią, że są zmiennokształtne. Kiedy są

jakimś zwierzęciem więcej niż 13 godzin, stają się nim na zawsze - odpowiada dziewczyna.

- Jesteśmy tu bezpieczne? Wiesz... drzewo w każdej chwili może upaść z powodu odgryzienia przez bobry – pytam.

- Są na razie zajęte miastem, przyjdą na bagna dopiero wieczorem, żeby spać. Zamienią się w żaby przed tym, bo wiedzą, że w jeziorze są bezpieczne, a jako bobry nie ukrywają się pod wodą. Przychodzę tu codziennie i je widzę. Zaczęło się jakieś trzy dni temu. Musimy coś zrobić... Ogrodzić jezioro albo coś.

- O matko... Same nie ogrodzimy całych bagien. Jestem przerażona, co będzie, jeśli nic na to nie poradzimy? Co, jeśli nie wrócę do domu?

- Reszta miasta może nam pomóc... Tylko trzeba im to wszystko wytłumaczyć.

Przez resztę dnia udało nam się nakłonić do pomocy wielu ludzi. Z drzew, które były już na ziemi - zrobiliśmy drewniany mur wokół jeziora. Nie sądziłam, że to tak szybko pójdzie. Zostawiliśmy przerwę między łączeniem ogrodzenia, aby bobry (już jako żaby) mogły swobodnie wejść do wody. Wieczorem, kiedy każde stworzenie spało - dokończyliśmy mur. Nawet nie wiem, jak opisać moją ulgę, kiedy to się udało. Już nazajutrz mogliśmy zdemontować ogrodzenie. Miasto, które zostało zniszczone przez bobry, zostało odbudowane. Wszystko zrobiono głównie z pozostałości drewna z lasu.

Gdy wszyscy byli bezpieczni, w końcu zasnęłam spokojnie pod ciepłą kołdrą. Obudził mnie głos mojej mamy wołającej mnie na śniadanie. Otworzyłam oczy i nie znajdowałam się już w domku na drzewie, a w moim własnym pokoju... Wszystko, co się działo, okazało się snem... Nie wiem, dlaczego przyśniła mi się legenda Lęborka, ale całkiem inna. Przecież rzeczywista historia tego miasta wygląda inaczej. A może to ten sen był prawdziwą jego legendą? Może ta fontanna z żabami jest upamiętnieniem tych zmiennokształtnych stworzeń? Może żaby żyjące w rezerwacie przyrody „Czarne Bagna” są tak naprawdę tymi stworzeniami? Do dzisiaj mnie to zastanawia.

Rusałka

Wyróżnienie: Julia Stefańska

„Jak powstał wąwóz w Białogardzie”

Dawno temu była sobie wioska, która słynęła z wielkiego kościoła. Miejscowi ludzie bali się jednego - „diabła”. Kapłan przewidywał, że niedługo przyjdzie. Król Białogardy zwołał naradę. Wszyscy się zastanawiali, co zrobić, kiedy nagle na salę wszedł chłopiec i powiedział:

- Ja wiem, jak pokonać diabła.
- Jaki to sposób? - spytali się królowie.

A chłopiec powiedział:

- Dajcie mi sól, wodę święconą i konia.

I tak zrobiono. Minął tydzień i stało się tak, jak kapłan przewidywał. Była wielka bitwa. Król kazał przysłać posiłki.

- To twój koniec - powiedział diabeł.
- Wcale, że nie - i chłopiec wyciągnął z kieszeni sól, posypał nią diabła i pokropił go wodą święconą.

Diabeł powiedział:

- Jeszcze tu wrócę!

Po bitwie został ślad - wielka dziura w ziemi, którą nazwali Wąwozem Białogardzkim.

Diablo

Legenda o duchu Emila

Wojciechowo to jedna z najmłodszych wsi Gminy Wicko. Jej historia zaczyna się dopiero na początku XIX wieku. Dawniej były to olbrzymia połacie pól rozciągające się od Zdrzewna do Zwartowa. Prawdopodobnie w roku 1801 hrabia Münster - Meinhöfel tajny radca pruski i właściciel majątku Zwartowo założył folwark, który nazwano od jego nazwiska Münsterhof, czyli dwór Münstera. Taka była dawna nazwa Wojciechowa. Na początku zbudowano siedzibę zarządcy i zabudowania gospodarcze, a potem domy dla robotników potrzebnych do uprawy roli. Mijały lata, a ziemia dawała coraz lepsze plony. Właściciele się zmieniali, aż w końcu jeden z nich postanowił się wzbogacić i podzielił majątek na 25 mniejszych gospodarstw. Tyle samo rodzin zamieszkało we wsi i wiodło tam spokojny żywot. Wkoło rozciągały się same pola. Dopiero później w ogrodach posadzono krzewy ozdobne i drzewa owocowe. Mieszkańcy wiedli bogate i sielankowe życie. Niestety żywot człowieka nie trwa wiecznie i wkrótce zaistniała potrzeba budowy cmentarza we wsi, dlatego wydzielono z jednego pola niewielki kawałek, na którym mieszkańcy grzebali swoich bliskich.

W Wojciechowie mieszkało jedno małżeństwo, które bardzo się kochało. Emil i Maria Pommeranz byli wzorem dla wszystkich. Wzorem do naśladowania jako kochające i troszczące się o siebie małżeństwo. Doczekali się również ośmioro dzieci, które wychowali na mądrych dających sobie radę w życiu ludzi. Wszyscy sąsiedzi ich podziwiali. Pocięchy były grzeczne i chętnie pomagały innym mieszkańcom. Niestety dawniej wiedza medyczna nie była tak rozpowszechniona jak dzisiaj i dwójka nowo narodzonych maluchów zmarła. Smutek ogarnął rodziców, ale musieli się z tym pogodzić. Czas płynął, ich dzieci stawały się dorosłe, zakładały swoje rodziny i wyprowadzały się do innych miejscowości. Emil i Maria się starzeli i nawet nie zauważyli, jak pewnego dnia zostali sami. Ciężko im było żyć w tej ciszy, bez śmiechu i gwaru rodziny. Całe życie poświęcili, żeby wychować następne pokolenie Pommeranzów. Mieszkali sami ciągle bardzo się kochali i szanowali. Jednak pewnego dnia Maria, która była dziesięć lat starsza od swojego męża, nagle zachorowała. Emil bardzo się martwił. Z dnia na dzień widział, jak zdrowie opuszcza jego ukochaną żonę. Lekarz pocieszał go, jak mógł, ale niewiele mógł zrobić - po miesiącu Maria zmarła. Nie doczekała roku 1936, zmarła na sylwestra. Jego rozpacz była wielka. Nie mógł się pogodzić z utratą najbliższej. Dzieci pocieszały go jak mogły, ale on ciągle płakał, i przestał nawet jeść. Po pogrzebie długo stał przy grobie. Dopiero sąsiad, który zauważył to, poszedł po niego i zaprowadził do domu, na dworze panowała sroga zima i obawiano się, że zamarznie. Emil codziennie pojawiał się na cmentarzu przebywał tam, aż do późnego wieczora mimo panującego chłodu. Jeden z jego synów Fryderyk, bojąc się o ojca, chciał zabrać go do siebie, jednak Emil uparcie odmawiał. Czuł, że duch jego żony ciągle tam jest. Byli tacy, którzy przysięgali, że słyszeli na własne uszy, jak rozmawiał z duchem Marii. Przyszła wiosna, a Emil codziennie przychodził na cmentarz pielęgnował grób, posadził czerwone róże,

kwiaty, które za życia uwielbiała jego żona. Zaczął się czerwiec 1936 roku, był wyjątkowo gorący i słoneczny. Emila opuszczały siły. Ciągłe tęsknił za Marią. Pewnego dnia zdziwieni sąsiedzi zauważyli, że grób Marii opustoszał, jej mąż przestał się pojawiać na cmentarzu, a kwiaty zwiędły. Także pies Pommeranzów dziwnie się zachowywał, był w niebogłósy i nie można było go uspokoić. Zatraskani mieszkańcy wsi zapukali do drzwi domu Emila, ale nikt im nie otwierał, drzwi były zamknięte od środka, dopiero żandarm, który został powiadomiony o tym fakcie, wyłamał drzwi i wszedł do środka. Emil już niestety nie żył, znaleziono go powieszzonego na strychu. Nie chciał już żyć bez swojej Marii. Pochowano go kilka miesięcy po śmierci żony 19 czerwca 1936 roku, na tym samym cmentarzu w Wojciechowie. Jednak nie można było złożyć jego ciała w grobie żony, a miejsce obok było już zajęte. Emil bardzo chciał spoczywać razem ze swoją ukochaną i pewnie dlatego jego duch zaczął się błąkać po cmentarzu, a w domu Pommeranzów zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Ci, którzy tam zamieszkali, słyszeli płacz, drzwi same się otwierały, a na podłogę spadały różne przedmioty, jakby jakieś niewidzialne ręce je zrzucały. Mijały lata, w domu, w którym straszyło, nikt nie chciał mieszkać. Kiedy skończyła się wojna, dawni mieszkańcy musieli opuścić wieś, a ich miejsce zajęli nowi. Wtedy to zmieniono nazwę wsi z Münsterhof na Wojciechowo. Jednak niespokojny duch Emila ciągle dawał o sobie znać i do dnia dzisiejszego niepokoi jego mieszkańców. Stary pastor z pobliskiego Zwartowa na próżno kropił dom święconą wodą. Dziwne zjawiska ciągle się powtarzały. Ponoć będzie trwało to tak długo, aż ciało Emila nie spocznie razem ze swoją ukochaną Marią.

Źródło udostępnione za zgodą Mariusza Baara: Historia Wojciechowa „Kreis Lauenburg in Pommern,,, F. Schulz 1912, księga cmentarna Zwartowa Archiwum Państwowe Gdańsk. Opowieści mieszkańców Wojciechowa.